

BIBLIOTEKA
KRAJOWA
W BYDGOSZCZY

ISKIERKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 1

WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK

Rok 45/46



Ci 6759

D 213-47/8502



Skończyły się mile dni wakacji.

Były krótsze niż zwykle, ale też minęły bardzo szybko, wprost niepostrzeżenie. I oto już wracamy do szkoły. Poważnie kroczy najpierw dojrzewająca młodzież. Obok niej żwawym krokiem maszerują zadzierzyste wyrostki i zwinne podlotki. Ale wszystkich chce wyprzedzić biegnąca truchcikiem najmłodsza dzieciarnia. Coś ją gna, coś popycha, ciągnie i porywa.

— Czego się tak śpieszycie, dzieci? — woła zatroskanym głosem jakaś siwiutka babcia.

— Uważajcie, żebyście nie wpadły gdzie pod samochód!... Jeszcze wczęsniej, jeszcze macie dużo czasu!...

Ostatnich słów dobrej babci dzieci już nie słyszą, a ona wciąż mówi do nich, bo jej się zdaje, że to wszystko jej wnuczki...

Tymczasem na dziedzińcu przed szkołą już się zaroilo. Ciekawe spojrzenia chcą się nasycić widokiem najpierw najbliższych, najserdeczniejszych, a później wszystkich, bo każdy w tej chwili wydaje się jakiś lepszy i bliższy, jakby nasz własny.

Wśród radosnego gwaru słychać niekiedy głośniejszy od innych okrzyk powitania kogoś szczególnie drogiego... Pogodny nastrój młodości udziela się również i starszym. Wszysey cieszą się, że żyją i są zdrowi.

Buzie dziecięce na ogół szczuple i wątle. Niektórym tylko niczego nie brakuje, jednak na większości wyraźnie widać skutki wojny. Ale to nie, choć ciało mdle, lecz duch ochoczy.

Na bladych twarzyczkach dzieci przy każdym spojrzeniu w oczy swych wychowawców maluje się wśród pogodnego uśmiechu głęboka ufność, że będzie lepiej.

Ale czas już iść do kościoła. Idziemy, bo tak dużo nam potrzeba. Każdy czuje potrzebę serca: podziękować Bogu za to, że wszystko, co mogło być najgorszego z nami, ominęło nas szczęśliwie.

Czujemy potrzebę serca złożenia podziękowań najlepszemu naszemu Opiekunowi za to szczęście, którym nas obdarzył: za to, że my zostaliśmy, a najokrutniejszy nasz wróg rozgromiony, — że nasza Ojczyzna odradza się na najsilniejszych fundamentach jedności i zgody, że nadzieja lepszej przyszłości opromienia nas takim blaskiem, jakiego nawet w najśmielszych swych marzeniach nie mogliśmy się spodziewać.

Ale i prośbę mamy niejedną. Ile to strapiionych, biednych, zasmuconych serc ludzkich oczekuje pociechy, oczekuje powrotu zaginionych drogich sobie osób? Ilu po stracie najdroższych potrzebuje ukojenia? A ilu w rozterce duchowej oczekuje natchnienia dobrej myśli?

Idźmy więc pomodlić się za siebie i za wszystkich potrzebujących, którzy sami nie mogą, abyśmy nie błądzili, aby nikt z nas nie zginął i aby żadne polskie serce nie cierpiało.

Idziemy do kościoła zaczerpnąć z ożywczego źródła, idziemy pokrzepić się i upewnić, że starczy nam siły do wytrwania i osiągnięcia naszych celów.

A później wracamy do zajęć codziennych.

Zbieramy się w swej nowej klasie do pracy na cały, zda się tak ogromnie długi, rok.

Przed nami w górze na ścianie krzyż — symbol naszej wiary, niżej godło państwa, a przy nich na straży przed nami nasz wychowawca.

Wszyscy stoją w oczekiwaniu, mileząc.

Nikt nawet nie drgnie, ani mrugnie, aż oddech w piersiach coś zapanowało.

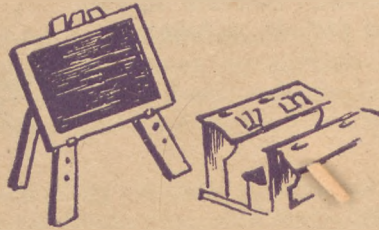
Wtem poczet chorągwiarzy rozwija sztandar narodowy, a chorąży podnosi go do góry.

Wszystkie spojrzenia skierowane na barwy narodowe chłoną umiłowaną biel z czerwienią. Sztandar lekko unosi się ku górze. Rzekłbyś, że siłą woli patrzących żrenie poruszony, sam wznosił się ponad nasze głowy, by przez cały czas naszej pracy czuwać nad czystością naszych myśli i błogosławić naszym wysiłkom.

Po chwili — modlitwa.

— A teraz — odzywa się nasz pan nieco wzruszonym głosem — zaśpiewajmy sobie na początek jakąś pieśń, jak harcerze przy ognisku, żeby nam było raźniej i weselej. Śpiewamy:

„Kto raz się wznosił na szczyty
i czołem sięgnął chmur,
ten wiecznie tęsknić będzie
do niebotycznych gór,
bo miło jemu nocą
być bliżej świetlnych gwiazd,
dniami dzikie gonić kozy
i orlich szukać gniazd...“



Tak rozpoczynamy nowy rok szkolny.

Sześć pokoleń szkolnych czekało na tę chwilę daremnie. Dopiero siódme pokolenie szkolne doczekało się szczęśliwie. Nasze najmłodsze pociechy, kochane siedmiolatki, doczekały się rozpoczęcia normalnej nauki w polskiej szkole.

Minął koszmarny sen krwawej bydgoskiej niedzieli, minęły najciemniejsze noce rozpacz i najkrwawsze dni grozy, minęły lata cierpień i udręki. Przyszła cudowna wiosna odrodzenia, wiosna nowego siewu i błogosławione lato nowego zbioru.

Przyszedł czas nowej pracy twórczej, a szczególnie tu u nas na Pomorzu i na najważniejszych dla życia Polski — Ziemiach Zachodnich.

Każdy wartościowy syn Ojczyzny znalazł już swoje miejsce.

Oto utrudzony, okryty ranami żołnierz polski odgrzebał swym poszczerbionym bagnietem wśród tysiącletnich zgłiszcz słowiańskiego dziedzictwa ostatnie resztki spróchniałych słupów granicznych, wbijanych ręką Chrobrego hen za Odrą i Nisą. Odgrzebał spod mułu błędów przeszłości i wbił drugie, niebutwiejące na nowe tysiąclecie, na zawsze.

Oto osłonięty piersią żołnierza rolnik polski, przybyły tu ze wszystkich krańców ziemi, w znojnym trudzie ogarnia życiodajne ojezyste lany. Pod świętym dla wszystkich Polaków na tej ziemi znakiem rodła przetrwali tu i wygrali sprawę narodową nieugięci w wiekowej walce z germańskim uciskiem synowie Piastowego rodu. Zasila ich teraz najwierniejszy polski lud ze wszystkich stron całej Ojczyzny i zrasta się w jedną potężną, nierozzerwalną całość.

Oto sycony pokarmem rodzinnej ziemi mieszkaniec miasta — robotnik i inteligent, rzemieślnik i kupiec wysiłkiem swych rąk, serce i umysł dźwiga z upadku zdeptaną przez wroga kulturę. Zakłada niewzruszone fundamenty nowej, polskiej kultury, prawdziwie demokratycznej kultury i cywilizacji.

Wszyscy, złączeni jedną wielką ideą, dzielą się tylko pracą. My młodzi i najmłodsi widzimy to i sami, gdzie tylko możemy, pomagamy starszym, bo chcemy dla siebie zbudować Polskę lepszą i szczęśliwszą.

F. Łukasik



WRZESIEŃ 1939

Od nocy w żelazo zbrojny
czekał na pierwszy znak wojny
gotowy do skoku wróg.
O świcie, w sady, wśród malin
krótki huk żołnierza zwałił
z nóg.

Zadrzało, uderzył w drogę
czołgów, dział tysięcznych ogień
z tysięcznych, stalowych luf.
Z trwających w okopach, dzielnych
do ostatka się napętnił
rów.

Szła polami pobojowisk,
krążyła wokół rumowisk
podkuta, niemiecka śmierć.
Na szlakach odwrotu sączyć
poczęła jad do wąpiących
serc.

W grzmącym locie wrogich eskadr
nad dachami pustych mieszkań,
w świcie spadających bomb -
nie licz, żołnierzu, rozbitych
wozów i o swój nie pytaj
dom.

Nie ufaj strydom, zautkom,
wolną drogę toruj pułkom
w ojczyzny rozdarta głąb
i braci twoich zdradzonych
od ukrytej w wieżach broni
chroń — — —

Przewaliła się z łomotem
nad jesieni polskiej złotem
przemoc wroga. Brakło sił — — —
Choć ziemi wolnej ni piędzi,
podziemna, krwawiąca będziesz
żyć !

Grott Franciszek



Ulice przedmieścia Szwederowa oblane zanikającym co chwilę w chmurach światłem księżycy spowijała wielka cisza. Tej nocy nie chciał nikt przespać. Tu i ówdzie na progach niskich domków stali ludzie z oczyma pełnymi niepokoju. Przygotowywaną od dawna na podbój wschodnich ziem maszyną wojenną puścił odwieczny wróg w ruch. Nieprzyjacielskie eskadry poczęły zasypywać polskie miasta burzącymi bombami. W Bydgoszczy trwał alarm. Od czasu do czasu czujne ucho zastygłych w oczekiwaniu niezwykłych wypadków ludzi wylawiało daleki warkot krążącego w głębi wrześnieowej nocy samolotu. Głuche detonacje wywoływały bolesne skurcze serca: — to polskie niszczone mienie, polskie gaszone życie.

Boleś Zamiara siedział przed domem wsłuchany w pierwsze odgłosy wojny. Nie czuł chłodu, nie zauważył, że progi domów opustoszały. Cienie sztachet małego ogródka kładły się na pustą ulicę. Wtem zadrzał. Wzdłuż plotów od strony Bielic w lekkim pochyleniu posuwały się prawie bezszelstnie dwie postacie. W pewnym momencie zauważył lufy karabinów. Patrol? — Zerwał się ze swego miejsca i począł przyczajony uważnie obserwować. Żołnierze w niespotykanym dotychczas umundurowaniu minęli



szybko skrzyżowanie ulic i po krótkiej chwili wahania zniknęli na cmentarzu ewangelickiego kościoła.

Nazajutrz powtórzyły się znowu alarmy lotnicze. Kalendarz wskazywał niedzielę, trzeciego września. Bolesł wrócił dopiero co ze mszy świętej, przerwanej rozdzierającym płaczem alarmowych syren. Podniecenie wzrastało z każdą godziną. Na ulicach miasta ukazały się długie kolumny wycofującego się polskiego wojska. Nagle zarechotały ze wszystkich niemal stron karabiny maszynowe. Żołnierze przygłnęli do ścian domów z lufami gotowymi do strzału. Spłoszone konie kolumny taborowej pędziły środkiem jezdni w kierunku ulic: Toruńskiej i Kujawskiej. Rażone kulami skrytobójczej ręki niemieckiej ludności cywilnej waliły się na bruk, tarasując swymi ciałami drogę. Chodniki ulic zaczerwieniły się krwią zabitych i rannych polskich żołnierzy.

— Czołgi niemieckie na ulicach miasta — rozkrzyczała się pierwsza pogłoska.

— Niemcy opanowali miasto — śpieszyła na pomoc druga.

To tabory dudniły galopem wystraszonych koni. To wybuchały granaty rzucające do zdradzieckich okien piwnic wystających ponad ulicę. To druzgotały bez przerwy karabiny okna strychów, skąd śmiercionośne pociski padały zniemacka na przesuwane się oddziały. Odpryskiwały kawałki roztrzaskanych cegieł z wież ewangelickich kościołów, gdzie ukryci niemieccy dywersanci ostrzelali najbliższe ulice. Bydgoszcz stała się frontem.

Bolesł Zamiara nie mógł usiedzieć na miejscu. Zaciskał pięści z bezsilnego gniewu, gdy z wieży ewangelickiego kościoła na Szwedzerowie mimo kilkakrotnego ostrzelania, odzywały się salwy ukrytego w załomach muru kulomiotu. Nie przestał obserwować, choć niedaleko niego wrogie kule ugodziły śmiertelnie przechodnia.

Z kierunku lotniska ukazały się samochody pancerne i ciężarowe obładowane polskimi żołnierzami. Czoło tej kolumny zatrzymało się tuż przy Bolesiu. Dowodzący tym oddziałem oficer zwrócił się do niego z prośbą, by im wskazał drogę na Zimne Wody, gdzie skoczki niemieccy opanowali wzgórze i szerzyli panikę w całej okolicy. Była to załoga lotniska z Torunia, która bydgoskiej przybyła z pomocą.

Bolesiuwi załopotano serce z tego wyróżnienia. Samochody popędziły na ulicę Toruńską. W bramach domów stały grupki ludzi, wskazując patrolującym żołnierzom, skąd dochodziły zdradzieckie strzały. Środkiem jezdni prowadzono z rękami podniesionymi do góry pierwszych dywersantów: ubrani byli w cywilne ubrania, mundury kolejarzy i przysposobienia wojskowego. Zabitych przechodniów nikt nie miał czasu usunąć. Kolumna samochodowa zbliżyła się do celu w nieustającej strzelaninie. Jak później stwierdzono, ściany samochodów podziurawione były jak sito.

— W tyralierkę — padł rozkaz dowódcy. Żołnierze szybkimi krokami rozwinęli się w szyk bojowy i rozpoczęli natarcie na górujące nad miastem wzgórze. Bolesł został w samochodzie. Był błąd z nadmiaru przeżyć. Z ciekawością słuchał meldunków telefonicznych. Grupa Niemców w mundurach wojskowych wycofywała się w kierunku lasów. Zdobyto dwa działka i kilka karabinów maszynowych. Do lasu dotarło niewielu. Schwyciono dwóch jeńców. Byli to spadochroniarze, których zrzuciły nieprzyjacielskie samoloty w ciągu ubiegłych nocy na lasy w Zimnych Wodach.

Walka trwała. Bolesł Zamiara mógł wrócić do domu. Spełnił zadanie. Przeprowadzenie było niełatwe. Skokami od drzewa do drzewa, od jednego załomu do drugiego, posuwał się naprzód. Wokoło niego bzykały kule. Wszystkie go szczęśliwie omijały. Późnym popołudniem dotarł do domu. Przyjęto go z westchnieniem ulgi i wymówkami. Bolesł nie zważał na to. Czuł się żołnierzem. Czuł, że jak żołnierz spełnił swą powinność.

Wieczór tego dnia i rano następnego były spokojne. Tylko tu i tam pukano jakby na postrach. Dywersanci niemieccy nie spełnili swego zadania. Zostali wytępieni. Dzielnym żołnierzom dopomogła bohaterska ludność miasta: Straż Obywatelska, harcerze, młodzież gimnazjalna. Miasto Bydgoszcz było wolne od wroga.

Tymczasem drogami z zachodu i północy zbliżała się opancerzona po zęby przemoc niemiecka. Tej sile nie można było się oprzeć.

Na Bydgoszcz zwała się straszna noc niewoli. Słowo „bydgoszczanin“ stało się wyrokiem śmierci.

Franselzek Grott





U STÓP ŚWIATOWIDA

Na wyspie Rugii był gród zwany Arkoną. W tym to grodzie mieściła się gontyna z najwyższym bogiem Słowian — Światowidem. Bogu temu przywożono ofiary z najdalszych stron Słowiańszczyzny.

W świątyni stał olbrzymi posąg, wyższy aniżeli najroślejsi ludzie. Cztery miał głowy, a każda w inną stronę świata patrzyła. Z drzewa był ten posąg cudacznie wyrzeźbiony. W prawej ręce trzymał róg z drogocennego kruszeu winem napelniony.

Nikomu prócz kapłanom nie wolno wchodzić do gontyny. Właśnie kapłan wymiata świątynię. A czyni to tak ostrożnie, by niczym nie zamącić ciszy. Baczy, aby nie oddychać. Nie godzi się oddechem ludzkim kalać boga. Ilekroć miał oddychać, tylekroć biegł ku wyjściu.

Nazajutrz lud gromadzi się u wrót świątyni. Kapłan pobożnie podchodzi do posągu i z ręki jego zdejmuje róg, który przed rokiem napelnił winem. Wynosi róg przed zgromadzonych i patrzy, czy w ciągu roku wina nie ubyło. Widzi, że róg napelniony po brzegi i oznajmia taką wróżbę:

— Bracia, radujecie się! Dobre będą w tym roku urodzaje!

Wśród ludu rozległy się gromkie okrzyki radości i pienia dziękczynne dla wielkiego Światowida.

Kapłan zaś wraca z rogami do świątyni i wylewa wino u stóp boga. To ofiara złożona Światowidowi. Następnie napelnia róg winem i kładzie go na powrót w rękę boga. Za rok o tej samej porze powtórzy wróżbę.

Tymczasem u wrót świątyni zasiedli ludzie do biesiady. Mięsiwo popijają miodem i cieszą się z pomyślnej wróżby. Każdy stara się zjeść jak najwięcej, bo umiarkowanie w tym dniu uchodziło za obrazę najwyższego z bogów.

L. B.

GONTYNA TRZYGLÓWA

Było to bardzo dawno — przeszło dziesięć wieków temu, kiedy ziemie słowiańskie rozciągały się po Łabę.

Radzim dosiadł konia i poprzez lasy mknął do Szczecina, warownego i bogatego grodu nad Odrą. Śpieszył się, bo kupcy, którzy przybyli z Niemiec z towarami, rozpuścili wieść, że cesarz przygotowuje zbrojną przeciw Słowianom wyprawę. Trzeba dać o tym znać panu na grodzie szczecińskim, a równocześnie wysłuchać wróżby bogów o losach wyprawy.

Kiedy przebył gęste bory, stanął. Chłodny wietrzyk powiał włosami długimi, a przed nim rozpostarła się dolina Odry. Ujrzał przed sobą trzy niewysokie góry. To Szczecin! Będzie tam jeszcze przed wieczorem i dziś jeszcze wysłucha wróżby.

Były w Szczecinie cztery gontyny, ale jedna z nich była najwspanialsza. Do niej to zbliżał się Radzim. Zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i z zadumą patrzy. Była zbudowana z grubych pni drzewnych, gliną oblepiona i wspaniałymi wizerunkami ozdobiona. Ogląda Radzim i oczom nie wierzy. Ci ludzie, zwierzęta i ptaki owe jak żywe. Zbliża się do owych malowideł i zdaje mu się, że słyszy oddech malowanych postaci.

W skupieniu wchodzi Radzim do świątyni. Tu na ścianach jeszcze wspanialsze malowidła, a między nimi broń, zdobyta hen na morskich wyprawach, oraz puchary złote i srebrne. Wiszą na ścianach złożone z wtłoczonymi perłami rogi turów, tasaki i noże.

W środku gontyny stoi na podwyższeniu bóg trójgłowy. Radzim oddaje mu pokłon i w te odzywa się słowa:

— Trzygłowie! Ty, który rządzisz trzema królestwami: niebem, ziemią i podziemiem, daj wróżbę pomyślną!

Trzygłowie, najlepszy i najdobrotliwszy z wszystkich bogów! Ty, który siatką złotą masz oczy i usta zakryte, byś nie widział ludzkich grzechów, daj wróżbę pomyślną!

Ocal nas od Niemców!

Pełen skupienia poszedł teraz Radzim do kapłanów. Wiedział, że mieli w stajni świętego, rosłego a otyłego konia, który nie imał się żadnej pracy. Do wróżb jeno był używany.



Wychodzi jeden z czterech kapłanów i kładzie na ziemi dziewięć włóczni. Jedna od drugiej o łokieć oddalona. Potem wyprowadza karego konia, trzymając go za uzdę. Prowadzi go poprzez włócznie.

Radzim dech zaparł i uważnie śledzi ruchy konia. Koń przeszedł, nie dotykając żadnej włóczni. Serce Radzima głośniejsze zabiło, a z piersi wydarł się okrzyk:

— Zwycięzimy!

— Cierpliwości! Radzimie! — odpowiedział kapłan. — Jeszcze wróżba nie jest skończona. Koń wrócić musi przez włócznie.

Z powagą kapłan prowadzi konia na powrót. Minał jedną włócznię, drugą, trzecią, czwartą, nie tknąwszy żadnej. Wtem koń potknął się o ósmą i rozrzucił dwie ostatnie.

— Źle! Niemcy tu przyjdą! — szepnął Radzim i zastygł w bezruchu.

Potem dosiadł konia. Pojechał. Stał znowu, spojrzął na zachód, zacisnął pięści i wyrzekł z mocą:

— Ale bronić się będziemy!]]]

L. B.



Upadek Arkony

Arkona na wyspie Rugii się pali. Świątynia boga Światowida, miejsce u pogańskich Słowian ze świętych najświętsze, została zburzona. W olbrzymim na 50 łokci wysokim wale czernieją zwęglone szczątki jedynej bramy, przez którą wtargnęli do wnętrza zdobywający Arkonę Duńczycy i sprzymierzeni z nimi Pomorzanie. Wszędzie pełno gryzącego dymu, który chmurą czerwono-szarą przesłania tarczę lipcowego słońca. Zgiełk

wojenny nieco przycichł i słychać szum morza, uderzającego z trzech stron o kredowe ściany przylądka, na którym stoi świątynia.

Obszerny dziedziniec zapelniony jest mnogą rzeszą zbrojnych wojowników. Widać tu pieszych i konnych, żeglarzy i żołnierzy lądowych, uzbrojonych w miecze, dzidy, łuki i strzały. Wśród nich wyróżniają się rosłe postacie Pomorzan.

Dwaj rycerze spod znaku chorągwi księcia pomorskiego Kazimierza Piastowicza kierują kroki ku świątyni. Chcą zobaczyć храм, najsłynniejszy ze wszystkich istniejących na ziemiach słowiańskich, do którego z dala przychodzą pielgrzymi z bogatymi ofiarami. Rycerze są chrześcijanami od czasów Bolesława Krzywoustego. Jeden z nich, potracając nogą o czerep glinianej konewki, mówi:

— Ponoć mlekiem gasili pożar, gdy im wody nie stało. Konew za konewką przynosili i lali w płomienie. Hej, ciężki był to wczoraj dzień, gdyśmy się dobijali do bramy. Myślałem, że nie zdzierzym.

Na to starszy, któremu broda osłaniała pół piersi:

— Trudno tu o wodę, choć morze naokoło, lecz trzeba schodzić do niego 70 łokci w dół. Kiedyśmy na statkach nadjeżdżali, to młodszy już strzały ślać na górę. Nie dosięgli szczytu.

Weszli do chramu. Minęli jedno ogrodzenie, drugie i stanęli w środku. Zrazu nic nie widzieli, gdyż ciemno było i dym ciężki wisiał w powietrzu. Dopiero oczy oswoiwszy, rozróżnić zaczęli rzeczy i kształty. W samym środku wznosił się olbrzymi posąg Światowida, misternie rzeźbiony z drzewa. Obok leżały uźdżenica i siodło jego białego rumaka oraz ogromny miecz błyszczący, z rękojeścią, wyrzynaną ozdobnie. Wnętrze kontyny obite było purpurowym sukmem.

Nagle zgiełk wielki i wrzawę usłyszano przed chramem. Oddział zbrojnych przyprowadził gromadę pacholków z toporami. Mieli powalić bałwana. Nie chcieli się zabrać do tej roboty, gdyż bali się zemsty bóstwa, lecz zmuszeni, zaczęli wykonywać przykry dla nich rozkaz.

Ciężkie uderzenia toporów jęły spadać na nogi bożka. Zrazu praca szła ciężko, gdyż posąg złożony był z licznych części twardego drzewa. Lecz wciąćie raz zrobione pogłębiało się coraz więcej. Uderzenia stały się rzadsze i głuchsze. Już, już posąg miał runąć. Po chwili drgnął, zachwiał się i z trzaskiem i głośnym loskotem zwałił się na ścianę, zerwał ją i potoczył się na ziemię. Gęsta chmura pyłu uniosła się w górę i przesłoniła widok. Kiedy kurz nieco opadł, pacholkiwie założyli sznury, aby posąg wyciągnąć na dziedziniec.

Tu na wieść o zburzeniu i na odgłos głuchych uderzeń zebrał się liczny tłum, złożony po większej części z wojowników. Ci, będąc już od dawna chrześcijanami, obojętnym okiem patrzeli na zburzonego bałwana. Lecz nadeszło wielu mężów i niewiast rugijskich, którzy mieszkając na wyspie, cześć głęboką oddawali bożkowi. Przestrach malował się na ich twarzach i trwożliwie oglądali się wokół.

— Zali ogień nie spadnie z nieba i nie spali śmiałków, którzy podnieśli rękę na świętość tak wielką? Zali im nie odpadną ręce, że się targnęli na wielkiego Światowida?

Lecz martwy bałwan milczał.

Wtedy z żalem i politowaniem wielkim patrzeli na dotychczas czczone bóstwo. Słabsze niewiasty rzewnie się rozplakały. Kiedy posąg porąbano na drwa i spalono, a żołnierze się rozeszli, to oni wciąż stali jeszcze, przeżywając gorzki ból z powodu niemocy bożyszcza. Czuli się osamotnieni, jak sieroty, którym zabrano ojca. I przypomniały im się słowa kapłana, przybyłego z daleka. Mówił o innym Bogu, jednym na świat cały, Bogu mocy wielkiej, którego czczą ich bracia z nad Łaby, Czechowie, ludy dalekiej Lechii i od czterech dziesiątek lat bliscy Pomorzanie. Bóg ten jest ojcem wszystkich narodów i nie godzi mu się opierać, kiedy do dzieci swoich przychodzi.

Wiara w bożka Światowida coraz więcej gasła i pamięć o nim zacierala się. Rugianie przyjęli chrzest, nasamprzód królowie, potem naród, a raz ochrzczeni, wiernie trwali przy nowym wyznaniu. Arkona jako przybytek kultu religijnego pogańskich Słowian przestała istnieć.

Joanna Markowska

ZE „STAREJ BAŚNI”

I. J. KRASZEWSKIEGO

Hengo tymczasem, klęcząc przy ławie, dobywał z sakiew coraz coś nowego. A było towaru pod dostatkiem, świecił i porywał oczy. Leżały naprzód igły długie do spinania chust, misternie się zamykające, a posplatane tak z kruszcem jasnego, jak gdyby plecione były ze lnu lub wełny. Niektóre z nich miały guzy błyszczące, inne popłatane były jak łodygi kwiatów, gdy zwiędną. Do wyboru było dosyć. Leżały dalej naszyjniki bogate, obwieszane blaszkami, kołkami i dzwoneczkami. Hengo je sobie do szyi przykładał, nie mówiąc, a pokazując, jak się na suknie bogato i pięknie wydawały.

Jedne naszyjniki plecione były jak u dziewcząt kosy, inne gładkie, z mocnego kruszcem, mogły bronić szyi od pocisku i strzały.

Dla mężczyzn powabniejsze były siekierki, długie noże z pochwami, dłuta i kliny, na ramiona kładzione kręgi, których ani miecz, ani strzała przebić nie mogła. Te, gdy na ławę wykladać począł, rzucili się chciwie parobcy, aż oczy im do nich zaświeciły i ręce zadrżały. Stary Wisz nawet przystąpił bliżej, a temu z pochwy skórzanej wydobywszy, podał Hengo mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść kosacca, u pięści piękną rękojeścią opatrzony.

Gospodarz, w prawą rękę go ująwszy, uśmiechnął się rad, przypatrując się ostrzu, które od słońca świeciło.

— Lepsze to — zawołał, śmiejąc się, Hengo — od waszych starych kości i kamieni; więcej wytrzyma, lepiej broni i wnukom służyć będzie. Czy człowieka, czy zwierzę dzikie, byle prawica silna — zmoże; a doma też tym wiele zrobić potrafi, kto umie.

Gdy to mówił, a męski sprzęt ów ukazywał parobkom, niewiasty się powoli, jedna drugą naciskając, zbliżyły tak, iż prawie głowami nad ławą zawisły, pożerając oczyma spinki, pierścienie, naszyjniki i kolce.

Wisz zamyślony stał, na kiju się oparłszy, nóż obejrzany położył i milczał posepnie... Chłopaki szeptały między sobą, to biorąc ostrożnie z ławy siekierki i noże, to je z żalem nazad składając. W oczach ich łatwo czytać było, że się im tych skarbów chciało — ale gospodarz jeszcze się był nie odezwał — a bez niego nic się tu nie działo. Był głową domu i panem. Woli swej nikt tu nie miał, jeśli on mu jej nie podał...

Skinął na starszego syna, poszeptał mu na ucho... wyszło ich zaraz dwóch z izby. Wisz na ławie siadł i po jednemu odkładać począł, co dla siebie i swoich chciał zatrzymać — wybrał piękny miecz liściasty, siekierkę kilka, młotów, nożyce, kilka pierścieni, dwa naszyjniki z wisiadłami..., myślał i liczył, czy tego będzie dosyć.

Patrzył na drzwi, skąd się powrotu synów spodziewał. Ukazali się wkrótce oba, jeden dźwigając wór duży, drugi na plecach niosąc pęk skór różnych, powiązanych pyskami. Rozłożono to na ziemi. Hengo chciwie w worku grzebać się zaczął, aż mu oczy błyszczały. Wydobywał po jednemu bryły mułem i ziemią okryte, gdzieniegdzie jasnymi obłamy połyskujące... W tych zdawał się świecić jakby zamknięty płyn jakiś, który stęzał i zmarzał na kamień. Skóry też zwierza zabitego zimą włosem świeciły lśniącem, a gdy Hengo palcami ich próbować zaczął, nic mu w nich sierści nie pozostawało.

Dopiero się targ rozpoczął, milczący bez słowa... Hengo odkładał, co mieć pragnął, stary głową trząsł i odrzucał... Razy kilka tak liczono skóry i to, co na stole leżało, ważono w rękach kawały bursztynu, ujmowano i dodawano. To Wisz, to Hengo trzęśli głową. To jeden, to drugi coś ustępował, jeden narzucał, to drugi... Szło to powoli, niekiedy przestankami dzielono długimi, w ciągu których umowa zerwana się zdawała; Hengo niby swój towar chciał pakować, chłopcy skóry brać zaczęli. Ociągano się z tym jednak, aż nareszcie Hengo rękę wyciągnął i stary w nią uderzył dłonią. Zgoda zawarta została. Wisz zagarnął, licząc swój nabytek i natychmiast rozdzielać go począł, wśród powszechnych oznak radości. Ścisłano go za kolana. Dwócały odzywał się wykrzykami... Hengo wziął skóry i pakował bursztyny.



U Łużyczan

We wiosce łużyckiej, położonej nad Zachodnią Nissą na południe od miasta powiatowego Gubina, odbywa się odpust. Nabożeństwo się skończyło. Tłum wiernych wysypał się z kościoła i rojno i gwarnie zalega ementarz. Mężczyźni, z których kilku ubranych jest w ciemne sukmany łużyckie, gromadzą się około swego sołtysa, starego Mikławusza Lubjenskiego. Rozprawiają o mającej się odbyć „gromadzie“ czyli zebraniu, na które zostali zwołani przy pomocy kartki obnoszonej przez gońca. Są wśród nich gospodarze rolni, rzemieślnicy oraz pracownicy tartaków; okolica obfituje w pola uprawne i lasy, których długi pas czernieje na widnokręgu.

Mężczyźni rozmawiają spokojnie, statecznie. Głośniej i weseliej jest nieco dalej, gdzie stoi gromada młodych Łużyczanek. Dziewczeta opowiadają sobie wesoło i niefrasobliwie, a od czasu do czasu perlisty śmiech kaskadą dźwięcznych tonów rozlega się wokół. Wszystkie są urodziwe, a znajdują się wśród nich takie, które na przekór zwycięskiemu pochodowi mody miejskiej, włożyły strój łużycki, mieniający się tęczą barw w jasnych promieniach słońca. Fałdziste spódniczki koloru niebieskiego, czerwonego i zielonego niby dzwony spływają poniżej kolan. Na nich widać jedwabne fartuchy, ozdobione bogatymi koronkami. Górną część odzieży stanowią czarne staniczki bez rękawów oraz zarzucone na plecy wzorzyste chustki. Rękawy płóciennych koszul są krótkie, często haftowane i sztywno uprasowane. Najwięcej malowniczy jest strój głowy Łużyczanek. Jedne mają gładkie nakrycia w kształcie ściętego stożka. Inne dźwigają artystycznie ułożony zawój z czarnych lub wzorzystych chustek. Upięcie zawoju jest zadaniem trudnym i wymaga nielada zręczności, cierpliwości oraz wielkiej ilości szpilek, których liczba dochodzi do 250. Szyje dziewcząt ozdobione są różnokolorowymi paciorkami. Stara Mikławuszowa i jej córka Anna mają ciężkie łańcuszki ze szczerego złota. Widać, zamożna to rodzina.

Różnobarwny tłum powoli zaczyna odpływać z ementarza na brukowaną drogę wiejską. Rozmawia głośno językiem łużyckim, który dawniej prawie nie różnił się od polskiego, a dziś jeszcze wykazuje duże podobieństwo do języka naszego. Z tłumem odłączają się jednostki, rozglądają się, a znalazłszy członków rodziny, łączą się z nimi i kierują się ku obejściom domowym. Stary Mikławusz również przystaje i czeka na żonę, która nadchodzi z córką.

— Co też teraz Henryk porabia — wspomina starszego od Anny syna Mikławuszowa. — Mógłby już wrócić ze swej wycieczki krajoznawczej po Górnych i Dolnych Łużycach — dodaje zwyczajem matek, które najchętniej widziałyby wszystkie dzieci naokoło siebie.

— Może nadszedł list od niego, a może on sam przyjechał, w tych dniach należy go się spodziewać — pociesza Anna.



Młody Henryk Lubjenski ukończył gimnazjum w Gubinie. Potem przeniósł się na uniwersytet wrocławski, aby poświęcić się studiom języków słowiańskich. Jest gorliwym Łużycaninem i pragnie wstąpić w ślady Ernesta Smolera, Handrija Zejlera czy innych pisarzy, poetów, patriotów lub dziennikarzy łużyckich. Na uniwersytecie pogłębił znacznie swe wiadomości o wielkiej rodzinie słowiańskiej i roli, jaką wśród niej odgrywają Łużycanie, którzy sami siebie nazywają Serbami łużyckimi czy Sorbatami. W czasie wakacji często wieczorami opowiadał o dziejach Łużyc, które sięgają VII wieku, o łączności z Polską za Bolesława Chrobrego i Bolesława Śmiałego. Wspominał o tym, że niegdyś granice Łużyc sięgały na wschodzie do rzek: Kwisy, Bobra i Odry, na zachodzie poza Łabę. Lecz od czasów Fryderyka II obszar zamieszkały przez Łużyczan skureczył się wskutek polityki germanizacyjnej pruskich panujących. Dzisiaj liczba Łużyczan wynosi około 150 tysięcy. Są po większej części ewangelikami. Łużycanie katolicy mieszkają w skupieniu w powiatach gubińskim i żarowskim.

W domu nie czeka Lubjenskich ani syn Henryk, ani wiadomość o nim, lecz inna niespodzianka, a jest nią list od siostry Mikławuszowej, mieszkającej w Grodzie. Krewniczka donosi o ślubie swej córki i serdecznie zaprasza na uroczystość weselną. Postanowiono, że pojedzie Anna. Młoda dziewczyna bywała już nieraz w Grodzie, w którym, jak na to wskazuje nazwa, stała niegdyś silna warownia słowiańska. Dziwna to miejscowość ów Gród. Liczy około tysiąca gospodarstw, rozrzuconych na przestrzeni jednej mili kwadratowej w nizinie łęgowej niedaleko miasta Chociebuża. Zamiast dróg są tu kanały wodne. Każdy gospodarz posiada jedno lub więcej czółen, którymi przewozi rodzinę do kościoła, dzieci do szkoły, bydło na targ lub siano z łąki. Czółnem zawozi się noworodka do chrztu, orszak weselny do ślubu, czółnem odbywa się także ostatnia podróż tamtejszych mieszkańców: w trumnie na cmentarz. Zimą, kiedy powłoka lodowa pokrywa kanały i zalane wodą łąki, wszelka komunikacja odbywa się na łyżwach i saniach.

Młoda Anna spędza popołudnie w stanie lekkiego podniecenia. Nagabuje matkę o różności, pyta o termin wyjazdu, omawia sprawę gościńca, który chce złożyć pannie młodej, przegląda części garderoby, aby najpiękniejszą wybrać na wesele.

— Trzeba krezę nakrochmalić, maticzko — mówi.

Matka przytakuje. Chętnie słucha szczebiotu córki i opowiada, jak to sama niegdyś bywała družką i brała udział w uroczystościach ślubnych, jak weseliła się, tańczyła i śpiewała wraz z innymi znaną pieśń weselną:

Khwatajcie ale kidajcie, ze te krupy budzia wszje.
Družka nje m'że doczakać, zoby mohła poskakać.

Pośpiesznie, nuże sprzątajcie, wszystkie krupy trzeba zjeść.
Družka nie może doczekać, żeby mogła poskakać.

Joanna Markowska



PO WAKACJACH

Woła dzwonek znów do ławek
dzieci z wszystkich klas.
Szybko minął wśród zabawy
wakacyjny czas.

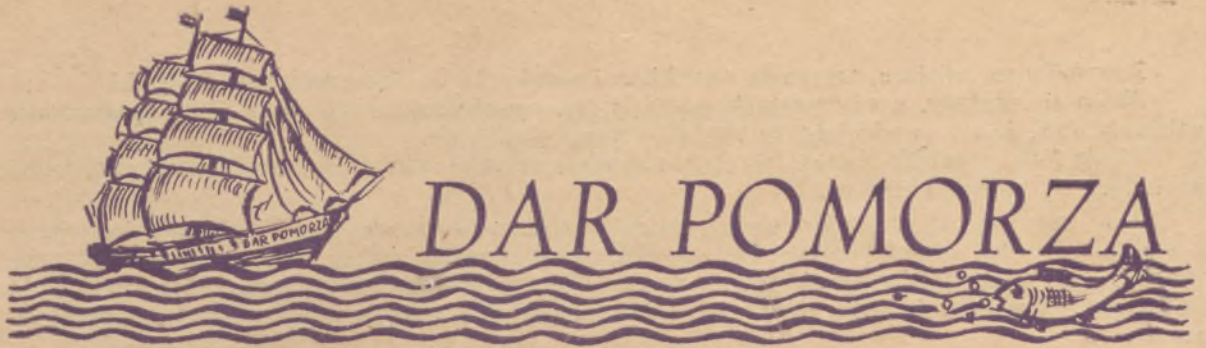
Rojno, gwarno na dziedzińcu,
podnosi się wrzask.
Dodały dzieciom rumieńców
słońce, wieś i las.

Jeszcze pełno żywych wspomnień,
w oczach pełno barw
Wraca stale i niezłomnie
przeszłych czasów czar.

Przebiegały bose nogi
wśród pachnących łąk
i pomagał stawiać stogi
zapał drobnych rąk.

Przeminęły dni wakacyj,
przewiał, jak sen.
Woła dzwonek: hej, do pracy
żwawo zabierz się!

Grott Franciszek



DAR POMORZA

Szmaragdowa Kropelka żyła od niepamiętnych czasów. Żyła wśród wielu innych podobnych do siebie siostrzyczek. Nikt nie pamięta, kiedy się tu zjawiała i skąd się wzięła. A ona sama nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje. Pamiętała tylko długo, jak ją boki bolały od wielkiego tłoku, jaki panował tam gdzieś głęboko, gdzie było chłodno i zupełnie ciemno.

Pewnego razu drgnęła. Zrobiło jej się trochę luźniej. Poczula, że unosi się do góry. Spostrzegła, że naokoło niej robi się coraz jaśniej. Wreszcie zrobiło się tak luźno i swobodnie, że wyskoczyła na wierzch. Było ogromnie jasno. Jakaś wielka ognista kula wysoko z góry skierowała swój bystry wzrok wprost na Szmaragdową Kropelkę, która ze zdziwienia i przerażenia to bladła i zieleniła, to znów czerwieniła. Czula, że mieni się wszystkimi barwami tęczy, której nigdy jeszcze nie widziała, a pierwszy raz dopiero spostrzegła na sobie. Ogromnie jej się te barwy podobały. Ach, jak tu ślicznie! — szepnęła z zachwytem. Dopiero teraz zauważyła, że kołysze się na falach. Usłyszała, że coś szumi i pluska. Fala za falą goni, a wokół delikatna biała piana. Dopiero się zjawi i już znika. — Gdzie ja jestem? — pyta sama siebie Szmaragdowa Kropelka. — Nie ma nikogo, żeby mi to powiedział. W górze ta ognista kula tak uporeczywie patrzy, że nawet spojrzeć na nią nie można. Naokoło błękitne niebo, a na dole w wodzie taki sam błękit się odbija. Wtem obok Szmaragdowej Kropelki plusnęła Złota Rybka. Ujrzała ją z góry biała zwinna mewa i jak strzała spadła wprost na rybkę. Złota Rybka machnęła ogonkiem, fik, mik pod wodą i dalej sobie igra, a skapana w wodzie mewa, jak niepyszna z okrzykiem niezadowolenia wzbija się do góry i dalej czatuje na zdobycz.

— Ej, rybko, rybko, uważaj dobrze na tego ptaszka — szemrze Szmaragdowa Kropelka swej przyjaciółce. Złota Rybka usłuchała i w blaskach słońca, wśród migotliwych fal, igrała długo i szczęśliwie.

Pewnego dnia Złota Rybka zapędziła się gdzieś bardzo daleko. Patrzy, a tu coś białego zbliża się do niej. Plusnęła ogonkiem i uciekła do Szmaragdowej Kropelki. Opowiedziała jej, że się ogromnie przestraszyła, tylko, że nie wie, co to mogło być. — Może mewa? — pyta Szmaragdowa przyjaciółka. — Nie, nie mewa — odpowie Złota Rybka.

— To było coś wielkiego i pięknego, co zbliżało się powoli, a od tego było słyhać jakiś śliczny śpiew.

Trochę posłuchałam, ale dłużej bałam się i uciekałam.

Zaciekawiona Szmaragdowa Kropelka wspięła się na spienioną grzywę najwyższej fali i ujrzała cudne zjawisko. Na tle błękitnego nieba, prując szmaragdowe fale, płynie olbrzym z białymi żaglami do trzech potężnych masztów przymocowanymi.

Białe żagle łopocą na wietrze. Z przodu powiewa biało-czerwona bandera, a z wiatrem leci melodia najpiękniejszej pieśni:

„Morze, nasze morze,
pilnie ciebie będziem strzec,
Mamy rozkaz cię utrzymać,
albo na dnie,
na dnie twoim lec;
albo na dnie z honorem lec!“

Złota Rybka i Szmaragdowa Kropelka poznały dźwięk ojezystej mowy. Przyglądają się, jak mogą i poznają pierwszą literę nazwy: duże D. Dalszych dwóch małych literek dobrze nie widać. Wyraźnie znów widać duże P, a sześć następnych małych literek znów niewidocznych z powodu zbyt wielkiej odległości.

Po dłuższej naradzie obie przyjaciółki postanowiły zbadać tajemnicze zjawisko. W pierwszą podróż wybrała się Złota Rybka. Płynęła długo, długo, wprost na południe. Dopłynęła do wielkiego pięknego portu. Tu usłyszała tę samą pieśń, a od dzieci biegających z wesolym gwarem po plaży dowiedziała się wszystkiego. Już wie teraz, gdzie jest. Wie, co to za wielka woda, wie, co to za port i czym jest to wielkie piękne zjawisko „Dar Pomorza“.

Zawróciła na miejscu, trzepnęła ogonkiem i pomknęła do Szmaragdowej Kropelki.

Długo się szukały, a gdy wreszcie znalazły się, opowiedziały sobie wszystko i ogromnie się ucieszyły obie, że to, co widziały, to wszystko nasze — polskie.

Mijały lata, a polskie morze, okręty, marynarze, rybki i wszystkie kropelki stanowiły jedną kochającą się bałtycką rodzinę.

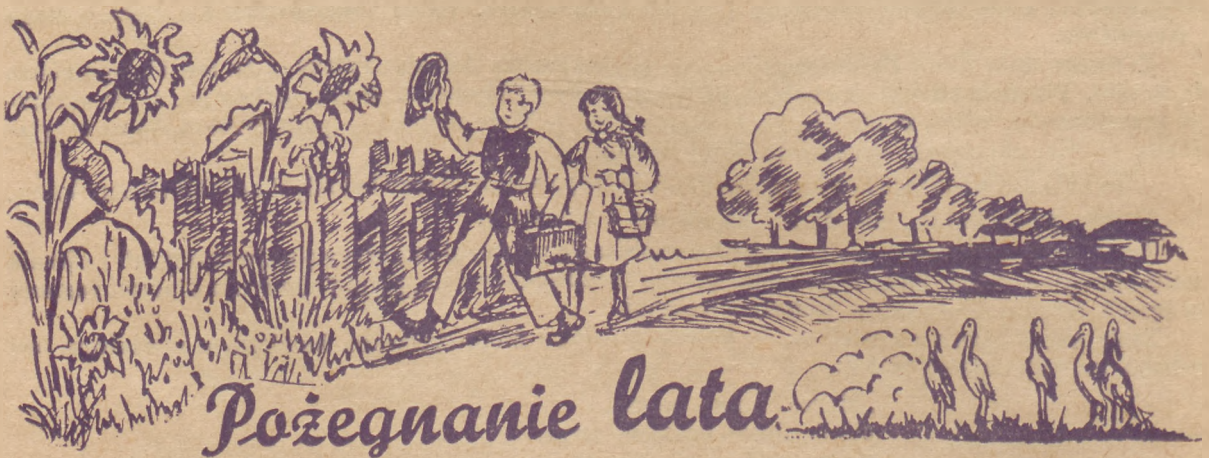
Dużo razy piękny żaglowiec płynął na dalekie morze i zawsze wracał szczęśliwie, witany z wielką radością. Aż raz popłynął i nie wrócił. Była straszna burza, jakiej przedtem świat nie widział. Latały błyskawice po niebie i po ziemi. Grom po gromie bił w ziemię, aż umilkła pieśń na brzegu. Słychać było tylko głuchy jęk i płacz dzieci. Szmaragdowa Kropelka miała złe przecucie.

Postanowiła teraz sama udać się w podróż, by zbadać, co się stało. Czekala długo i cierpliwie.

Przyszła gorący słoneczny dzień. Szmaragdowa Kropelka wypłynęła na sam wierzch i grzała się. W pewnej chwili poczuła, że robi się coraz mniejsza i lżejsza, że się zamienia w lekką mgiełkę i unosi do góry. Skinęła tylko na pożegnanie Złotej Rybce i pomknęła w błękitną, słoneczną dal. Lekki wiatr od morza poniósł ją daleko na południe. Wszędzie widziała tylko luny i pożary. Nie mogła patrzeć na to, co się pod nią dzieje. Dym gryzł ją w oczy, a jęk mordowanych leciał w obłoki. Zapłakało miękkie, delikatne serduszko Szmaragdowej Kropelki nad niedolą ojczystej ziemi.

Złośliwy wiatr przepędzał ją w skłębionych chmurach z jednego miejsca na drugie. Nigdzie nie czuła się swojo. Ścisnął ją wielki żal i zimno w górze, aż napęczniona ciężką boleścią runęła z obłoków na ostrą krawędź wysokiej góry. Cichutko jęknęła i rozprysła się na drobnissime kropelki. Ale te zaraz zaczęły się skupiać. Najpierw utworzyły się dwie maleńkie kropelki, jak dwa świecące brylanciki, jak dwie córeczki obok swej mamusi. Obie takie same, zupełnie podobne do Szmaragdowej Kropelki, która powoli również zaczęła przychodzić do siebie. Nie zdążyła jeszcze nasycić się widokiem ślicznych córeczek — Wiślanki i Odrzanki, gdy obie naraz stoczyły się w dół po przeciwnych stronach krawędzi: jedna na wschód, druga na zachód. Szmaragdowa Kropelka została na wysokiej górze, a z obydwu dolin doleciał ją tylko cichutki szepot pożegnania „Do widzenia!” Czy się jeszcze kiedy zobaczą? Czy się połączą? Czy ujrzą Złotą Rybkę i usłyszą pieśń „DARU POMORZA“?

F. Łukasik



— Jaka szkoda, że trzeba już wracać do miasta — myśli Adaś.

— A ja się tak cieszę, że się znów zobaczę z moimi koleżkami — wybucha krzykiem radości Stefka.

Adaś też cieszy się, że niedługo znów rozpocznie się w szkole wesołe życie. Oj, naprawdę wesołe, nie takie, jak za czasów okupacji. Trzeba było wtedy język sobie łamać przy wymawianiu obcych wyrazów, które nie chciały przejść przez gardło. Teraz to zupełnie inaczej w szkole. Jak to miło iść w szeregu przez miasto i śpiewać z całą ochotą polskie piosenki! Ach, jak przyjemnie słuchać polskiej mowy, dowiadywać się dużo pożytecznych rzeczy i jeszcze w domu o tym rozważać z tatusem lub mamusią.

O, tak — Adaś chętnie chodzi do szkoły, ale teraz żal mu tych pięknych, swobodnych dni. Jeszcze do niedawna chodził z wujkiem na pole, poganiał biezyskiem konie, które ciągnęły maszynę, zbierającą luźne kłosy. Wieczorami bolały go początkowo pokłute na ściernisku stopy. Nie wy-

padalo chodzić latem po polu w bucikach. Zresztą Adaś wiedział, że teraz trudno o nowe bućki. Stefka prowadziła na pastwisko krówki. Dbała o to, by były zawsze najedzone. Smaczne było mleko od Krasuli i Czarnuli. Wakacje dobiegały końca. Jutro pociąg zawiezie ich do miasta. Adaś i Stefka żegnają się powoli ze wszystkimi. Mówią miłe słówka Burkowi, który im wszędzie towarzyszył, głoszą czule Misia po grzbiecie i nosku, spią jeszcze raz ziarna wiecznym głodnym kurkom.

— Ach, jak mi żal tych jabłek — wzdycha Adaś.

— A mnie tych jarzębin czerwonych, z których robiłam sobie korale i tych słoneczników, które zaglądały ciekawie do mego okienka.

Dzieci chodzą po sadzie, by najeść się owoców do syta.

Za sadem, w dole, spacerują jeszcze bociany. Już niedługo i one odlecą. W sadzie pełno już opadłych liści.

— Żegnaj nam, wsi miła, skapana w słońcu lata!

Franszerek Grott



sne duchy leśne chciały ustrzec tajemnie swego królestwa przed ciekawymi spojrzeciami obcych przybyszów. Dziewczynki kroczą raźnie naprzód. Rozmawiają i śmieją się wesoło, prując beztrosko delikatną tkankę pajęcza, a ta jakby rozgniewana czepia się ich twarzy, włosów i sukien.

W lesie po onegdajszych deszczach jest dużo grzybów. — Jakie wspaniałe okazy muchomorów — woła z zachwytem Krysia. — Szkoda, że trujące — dodaje praktyczna Genia. Na zielonym kobiercu leśnym żółca i czerwienią się płaskie kapelusze surojadek. Nie są one trujące, lecz mało pożądane w porze, kiedy smaczniejszych grzybów jest w bród. Już rozlega się wołanie Halinki: — Mam rydza! — A ja dwa borowiki — triumfuje Krysia. Genia nieco oddaliła się od koleżanek. Znalazła pole maślaczków. Przykłęka i wydłubuje wychodzące z ziemi młode grzybki, oczyszcza je pięknie i wkłada do koszyka. Halinka i Krysia trzymają się razem. Między wrzosami natrafily na pole pokryte sierścią. — Musiała się tu rozegrać straszna tragedia. Widać jastrząb rozszarpał zająca — mówi w zamyśleniu Halinka. Wtem Genia zaczyna się głośno śmiać. Woła towarzyszkę i wskazuje na najbliższe stojące drzewo, na którym dwie wiewiórki goniają się. Jedna trzyma w pyszczku orzech, druga chce jej go odebrać. Dziewczynki z zaciekawieniem przypatrują się zręcznym skokom zwinnych zwierzątek, które, opuszczając się z gałęzi na gałąź, zachowują równowagę dzięki puszystym ogonom, wzniesionym do góry.

Las z początku pusty, teraz zaludnia się. Do dziewczynek zbliża się kobieta z czworgiem dzieci, które rozmawiają głośno i co chwila nawołują się. Zasypują matkę pytaniami, czy grzyby, które znalazły, są jadalne. Najmłodsze z nich, pięcioletnia dziewczynka, chce koniecznie widzieć krasnoludki, o których słyszała w ochronce. Nieco dalej starszy mężczyzna pilnie wpatrzony jest w ziemię. Wykorzystał popołudnie, aby odetchnąć świeżym powietrzem i wypocząć po znojnjej pracy zawodowej. Dwie grzybiarki wracają już z lasu. Siatkę napelniły najpiękniejszymi borowikami. W koszu mają mieszane grzyby. Widać tam brązowe olszówki, żółte kurki, rydze, zielone i szare gąski. Opodal tęga kobieta dźwiga kosz pełen czerwonych borówek-brzusznik.

Koszyki dziewczynek również powoli zapełniają się. Najmniej grzybów nazbierała Halinka. Za to ma okazałą wiązanekę wrzosu. Przechodząc obok liliowych kęp pięknie rozkwitłych krzaczków, nie mogła się oprzeć pokusie i zerwała kilka gałązek. W domu podaruje bukiet mamusi.

Słońce stoczyło się zupełnie nisko. Ukośnymi promieniami słabo ogrzewa ziemię. Wkrótce zginie zupełnie. Chłodny i wilgotny powiew zbliżający się wieczór jesienny. Dziewczynki wyruszają z lasu do domu. Cieszą się z bogatego plonu i omawiają żywo przyjemne wrażenia, jakich doznały w czasie grzybobrania.



Joanna Markowska

MOŻE TO PRAWDA?

Stary Maciej był dziwakiem. Mieszkał na końcu wsi. Chatę jego trudno było dostrzec. Zaslaniały ją stare, rozłożyste drzewa. Ogród i dom otaczał wysoki mur, poza który Maciej nigdy nie wychodził. Przyjaciela także nie miał. Unikał on ludzi.

Pod strzechą starej stodoły złożył „graciarnię“. Maciej składał tu różne zepsute i nieużyteczne sprzęty i rzeczy: rozbite skrzypce, kulawe krzesła, złamany trzonek, zardzewiałą strzelbę, wyszezerbioną brzytwę, bezzębny grzebień, jeden trzewik, rozbite drzwi, a nawet suche drzewo i krzak.

W nocy, gdy ludzie spali, wszystkie te nieużyteczne sprzęty przemawiały ludzkim językiem.

Zalily się, że nie mogą już służyć człowiekowi, że mokną i marzną. A potem, by ulżyć swej doli, zaczynały opowiadać o dawnych czasach. Historię swego życia. Pewnej nocy trzewik, największy mówca, (buzię miał wiecznie otwartą) powiedział: — Koledzy! — wszyscy mieliśmy szczęśliwą przeszłość. Teraz przesładuje nas zły los. Pod tym względem jesteśmy równi. Niech jednak ta równość wynika i z naszych nazwisk. Piszmy się wszyscy przez „rz“. Krzesło, skrzypce i krzak zawołały: — Zgoda! Choć u nas słyszy się „sz“, będziemy używać „rz“.

— Zgoda! — odpowiedzieli strzelba i trzonek. — I my użyjmy „rz“, choć słyszy się u nas „cz“. — Zgoda! Zgoda! — zawtórowały wszystkie beużyteczne sprzęty. — Będziemy wszyscy pisać się przez „rz“.

Tymczasem zbudził się dzień. Nikt nie zauważył, że końcówką część rozmowy podsłuchiwała pszczoła. Wstała, jak zwykle, wezwanie do pracy. Przeleciała tuż nad ogrodem Macieja. Zdziwił ją jednak niezwykle gwar. Siadła więc na kwiatku lipy i słuchała. Śmiała się z całego kulawego towarzystwa, a najwięcej z dziwnej uchwały. — Choć się słyszy „sz“ lub „cz“, będziemy się pisać przez „rz“. Nagle jednak spoważniała. Zauważyła, że i w jej nazwisku słychać „sz“. Z oburzenia zabręczała głośno, zatrzepotała skrzydełkami i krzyknęła: — Nigdy! przenigdy nie zapiszę się do waszego towarzystwa! Będę się pisała przez „sz“, tak, jak się słyszy! Nie należę do was! I odleciała w pole. Okrążyła kilkakrotnie łan pszenicy. Głośno brzęczała z oburzenia. Pszenicę zdziwiło zachowanie się pszczołki. Zaszumiała więc i pyta grzecznie: — Cóż się stało? Skrzętna zbieraczka miodu powtórzyła całą historię, a potem pofrunęła do pracy. Pszenica tymczasem rozważyła to, co usłyszała. — Pszczoła jest przecież prawdomówna i pracowita. Nie ma czasu na plotki. Mnie też się nie podoba to całe towarzystwo spod stodoły. A potem głośno zaszumiała. — I ja będę pisała swoje nazwisko tak, jak się słyszy: „sz“. Od tego czasu „pszczoła“, „pszenica“ pisze się przez „sz“. Takie dziwy opowiadają ludzie o ogrodzie Macieja. Może to prawda? a może i nie?

Henryk Stachowiak



Zosieńka i jabłuszka

W ogródku u Zosieńki rosła mała jabłoneczka. Na wiosnę bielutkim kwieciem się okryła. Latem miała jabłuszka. Jabłuszka rosły, a Zosieńka liczyła je co dzień rano. Tam trzy, tu dwa, tu znowu trzy, a u góry jedno.

Jednej nocy zły wiatr stanął u plotka. Chuchnął, dmuchnął z całej siły i jabłuszka z drzewa stracił. Drzewko słabe było. Jabłonka była jeszcze mała i przed złym wiatrem obronić się nie miała siły. U wierzchołka drzewa zostało tylko jedno jabłuszko. Małe, zielone do listków się przytuliło i ukryło przed złym wiatrem. Nie spadło. Zostało na drzewie. Samo jedno ocalało.

Mijały dni. Jabłuszko rosło. W słońcu się co dzień wygrzewało. W deszczu chętnie się kąpało. Rosa poranna je karmiła. Listki przed wiatrem chroniły. Jabłuszko nabrało rumieńców. Policzki jego wypełniły się przez lato. Mieszkanko w ogródku było dobre, było zdrowe.

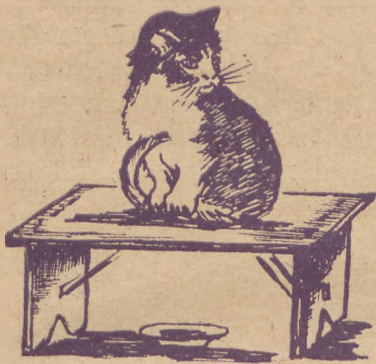
Nadszedł wrzesień. Zosieńka musiała wrócić do szkoły. Cieszyła się. Wesoła, uśmiechnięta wybiegła z tornistrem na plecach. „Hau, hau!“ — zawołał za nią Azorek, jej ulubiony piesek. Chciałby za nią pobiec. Skakał dokola i radośnie ogonem machał. „Musisz zostać w domu“, — tłumaczyła pieskowi Zosia. — „Dziś idę do szkoły. Zabrać cię więc nie mogę“. „Hau, hau!“ — „To źle, to źle!“ — skarzył się pies bardzo niezadowolony.

Zosia zajrzała jeszcze do ogródka. „Miau, miau“ — usłyszała nagle otwierając furtkę. To Mikutek lasił się u jej nóg. Kotek wypił już mleczko i teraz chciał się chętnie z Zosią pobawić. „Wakacje się skończyły. Szkoła na mnie czeka. Nie mam czasu z kotkiem się bawić“ — powiedziała Zosia i tylko kotka po miękkim futerku pogłaskała.

Zosia stanęła koło swojej jabłoneczki. Na jabłuszko spojrzała. Nagle przyszła jej wesola myśl do głowy, bo w rączki klasnęła. Potem nadstawiła fartuszek. „Jabłko, jabłuszko!“ — zawołała Zosia. „Chcesz iść ze mną do szkoły? Ciebie chętnie zabiorę. Włożę cię do tornistra. W szkole będzie bardzo wesoło. Usłyszysz wiele ciekawych rzeczy. Czy chcesz?“ — raz jeszcze zapytała. Powstał lekki szmer między gałkami i bęc! — jabłuszko wpadło wprost do fartuszka. Rumiane, jak Zosia. Zdrowe i uśmiechnięte, jak ona. Chciało iść z Zosią do szkoły. Zosia schowała jabłuszko do tornistra i szybko wybiegła na ulicę. Do szkoły ma blisko.

Koleżanki zachwyciły się pięknym jabłkiem. Takiego żadna w swoim ogrodzie nie posiadała. Żadna też nie miała po wakacjach tak zdrowej i rumianej buzi jak Zosieńka.

Marta Sobecka



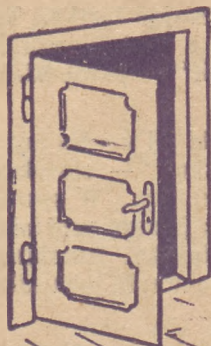
KOTECZKA

Jadwinia przyniosła z wakacyj ładną kotkę. Futerko ma całe bure, a na grzbiecie ma ciemne pręgi. Nazywa się Burusia. Jadwinia ją bardzo lubi. Burusia śpi w małym kartoniku. Właśnie teraz obudziła się. — Miau, miau, miau, mruczy przeciągle. Prosi Jadwinię o śniadanie. O! Jadwinia o koteczce pamięta. Już niesie w miseczce mleczko. — Kici, kici, kici — woła. — Proszę na śniadanie. Buruska długo prosić się nie daje. Już jest przy miseczce. Śliznym różowym języczkiem pije mleczko. Wypiła wszystko. — Mrrr, mrrr, mrrr — mruczy zadowolona. Teraz zabiera się do mycia. Najpierw jedną łapkę myje, potem drugą. Później pyszczek, uszka i całe futerko. Burusia podchodzi do dziewczynki. Wyciąga przednie łapki do przodu, a grzbiet unosi do góry. W ten sposób prosi o pieszczotę. Jadwinia wie, co to znaczy. Bierze kotkę na kolanka. Długo gładzi jej lśniące futerko. Przytula ją do siebie. A koteczek mruczy szczęśliwy: — mrrr, mrrr, mrrr. — Dość tych pieszczotek, koteczku. Muszę zadanie pisać. Burusia zrozumiała Jadwinię. — Miau, miauu, miauu i ja zajęcie mam. Muszę myszki upolować. Jeden skok przez okno i już myszek kotka szuka. A myszki to przysmak koteczki wielki. Poluje na nie i w polu i na strychu. Siedzi Jadwinia przy stole, a tu ktoś przez okno, buch! Co to? To Buruska przyniosła tłustą myszkę i kładzie przed Jadwinię. — Miau, miau, miau. — Dla ciebie, Jadwiniu, myszkę mam. Za to, że jesteś dla mnie dobra. Jadwinia zaśmiała się ubawiona. Pogłaskała kotkę, mówiąc: — Dziękuję ci, Burusko, ale ja myszek nie jadam.

Helena Jeszkowa



Szkolne



Wszystkie ludki szkolne zbudziły się. — Co to? — co to? — pytają zdziwione. — Kto śmie przerywać nam długi sen? „Ludek atramentowy“ pierwszy wyskoczył z kałamarza. Już stoi na oknie. W oka mgnieniu znalazł się na ławce. — Dzieci, dzieci już do szkoły wróciły! — krzyczą donośnie. Fi — ut! zagwiznął przeciągle. Na sygnał ten zjawily się wszystkie „ludki“. Cała ich jest gromada. Niektóre jeszcze senne, szeroko otwierają buzię, ziewają. — Uu! — Mało było spoczynku narzeka „duszek

rachunkowy“. I mnie również mało, i mnie, i mnie. Każdy z nich biada, ręce załamuje. Na czoło gromadki wystąpił „duszek porządkowy“. — Bracia ludki! Wakacje się skończyły. Dzieci już do nas powróciły. Pracy mamy więc dużo. Każdy z was niech biegnie do swojej kryjówki. Czapki „niewidki“ włożyć na głowy. A więc do pracy. Ludki atramentowe natychmiast wpadły do kałamarza. — Susza — krzyczy jeden. — Atramentu nie ma. — A co much! — krzyczy inny. Zaraz rozpoczęły kałamarze czyścić. Zaroilo się pod kranem. Lecz cóż to? Znowu sygnał. To „ludek porządkowy“ biegnie. — Do kryjówek! Do kryjówek! — pada rozkaz. Wpadły kałamarze w otwory w ławkach, a w nich skryły się ludki. Cisza. Słychać tylko z daleka tupot nóg. Śmiechy wesołych dzieci. Drzwi klasy otwierają się. Uśmiechnięte, opalone dziatki biegną, aby zająć miejsce w pierwszych ławkach. A ciekawe „ludki szkolne“ zerkają spod „czapeczek niewidek“. Szukają swoich ulubienic. Ławki są wypełnione dziećmi. „Ludki szkolne“ biegną i zajmują miejsce w szarych kąciach pod ławeczkami. Każdy „ludek“ ma jedno dziecko, którym opiekuje się w szkole. Ludki pomagają w nauce dzieciom. Czapeczki niewidki pozwalają im swobodnie się poruszać po klasie. Kto włoży czapeczkę, ten jest niedostrzegalny przez dzieci. Ludki atramentowe dbają, aby dzieci na stalówkę nie wzięły za dużo atramentu. A ludki rachunkowe liczą wspólnie z dziećmi. Cichutko szepeczą do uszka, ile jest 5×5 . Z pomocy ludków korzystają tylko dzieci grzeczne i posłuszne.

Helena Jeszkowa



ZAGADKI

Co to za gonitwa
wesoła, wesoła?
Biegają konie drewniane
dokoła, dokoła.

..... ze spodeczka
wypił trochę mleczka.
Teraz się wygina,
chce spać u komina.